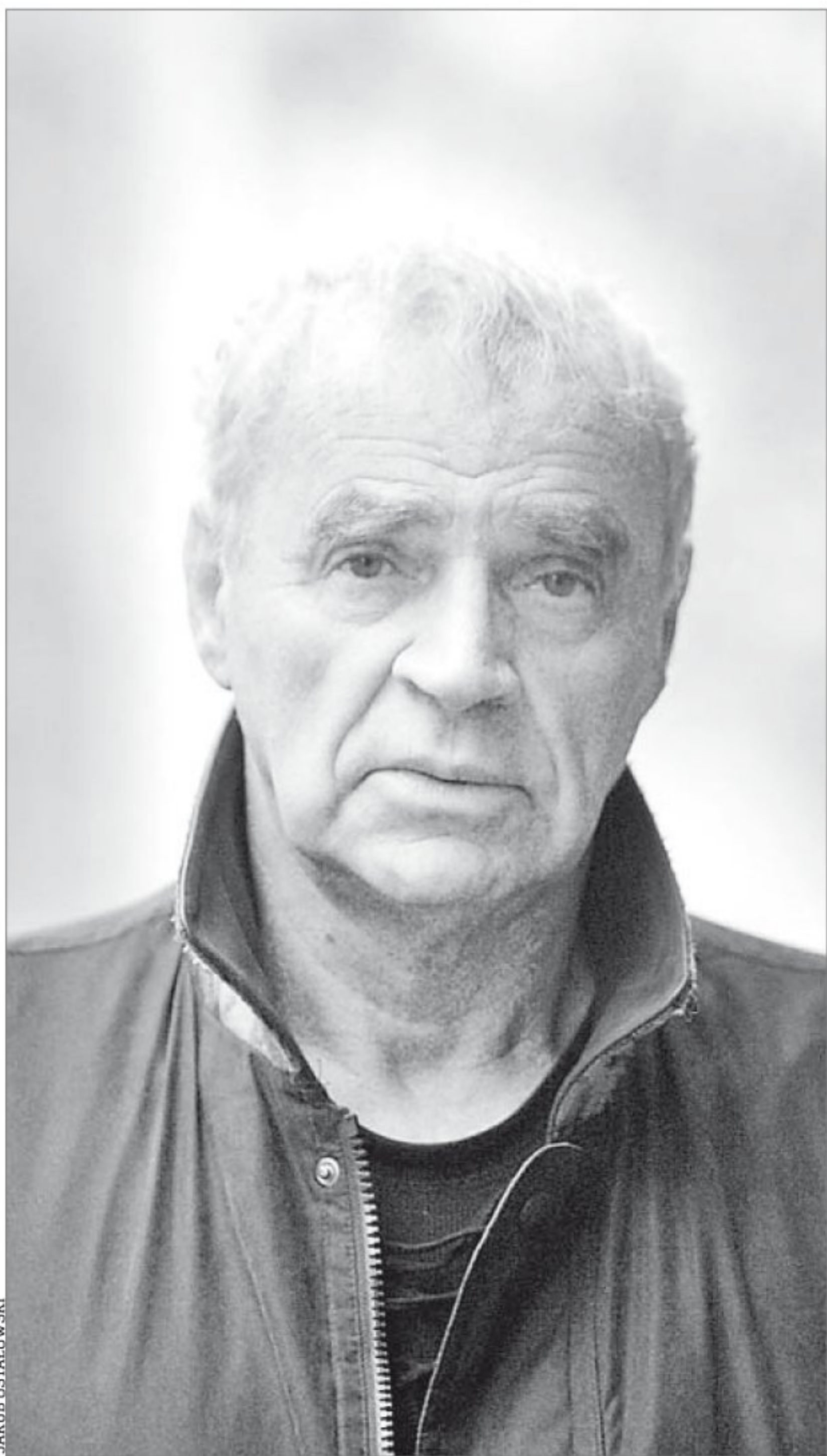


JAKUB OSTAŁOWSKI



POŻEGNANIE

Janusz Głowacki (1938–2017)

Zmarł wybitny pisarz, autor takich sztuk, jak „Antygona w Nowym Jorku” czy „Fortynbras się upił”, wystawianych na świecie, autor i współautor świetnych scenariuszy filmowych, z legendarnym „Rejsem” na czele.

Na naszą rzeczywistość patrzył z dystansu. Mawiał: „Polska jest może i lepsza. Ale czy Polacy?”. Walczył z megalomanią, ale pod maską ironisty i szydery krył się człowiek z duszą romantyka, twórca, którego los Polski bardzo obchodził. ©©

—d.k. ➤ **A13**

Lekarz polskiej megalomanii

POŻEGNANIE | Odszedł Janusz Głowacki, pisarz, dramaturg wystawiany na całym świecie, barwna postać polskiej kultury.

JACEK CIEŚLAK

Powtarzał za Beckettem, że nie ma nic tak śmiesznego jak nieszczęście. A jednak po jego śmierci trudno się śmiać. Nieco łatwiej – czytając go oraz przypominając sobie to, co mówił i w jaki sposób.

I strasznie, i śmiesznie

Bywa, że spychano go w przestrzeń kawiarnianej anegdoty, poprzez którą pokazał siebie i Polskę XX wieku w autobiografii „Z głowy”. To prawda: uwielbiał podglądać życie, świat, Polskę i Polaków, co pokazał już jako współscenarzysta filmu „Rejs” i jego uczestnik. Ale przecież nie kończyło się na krwistych i pieprznych anegdotach – wyrastały z nich felietony „Powrót hrabiego Monte Christo” czy opowiadania z tomu „Wirówka nonsensu”.

Z polsko-rosyjsko-żydowskiej historii obserwowanej wśród bezdomnych i imigrantów w nowojorskim Tompkins Square Park zrobił współczesną, imigrancką wersję antycznej tragedii – „Antygonę w Nowym Jorku”.

Ostrzej niż Gombrowicz uwalniał nas od polskiej megalomanii. Nie podzielał nadziei wielu rodaków, że nasz kraj jest pępkiem świata. „Nie mogę pisać dłużej o Polakach, bo mają żal, że ich źle przedstawiam. Mówią, że jak Francuz pisze o Francuzach, to przynajmniej są oni dobrze ubrani” – ironizował.

Ostatnio obserwował Polskę, demonstracje i kontrdemonstracje z perspektywy baru w warszawskim hotelu Bristol. W książce „Przyszłem”, o tym, jak pisał scenariusz do filmu o Wałęsie Andrzeja Wajdy, poprzez przewodniczącego

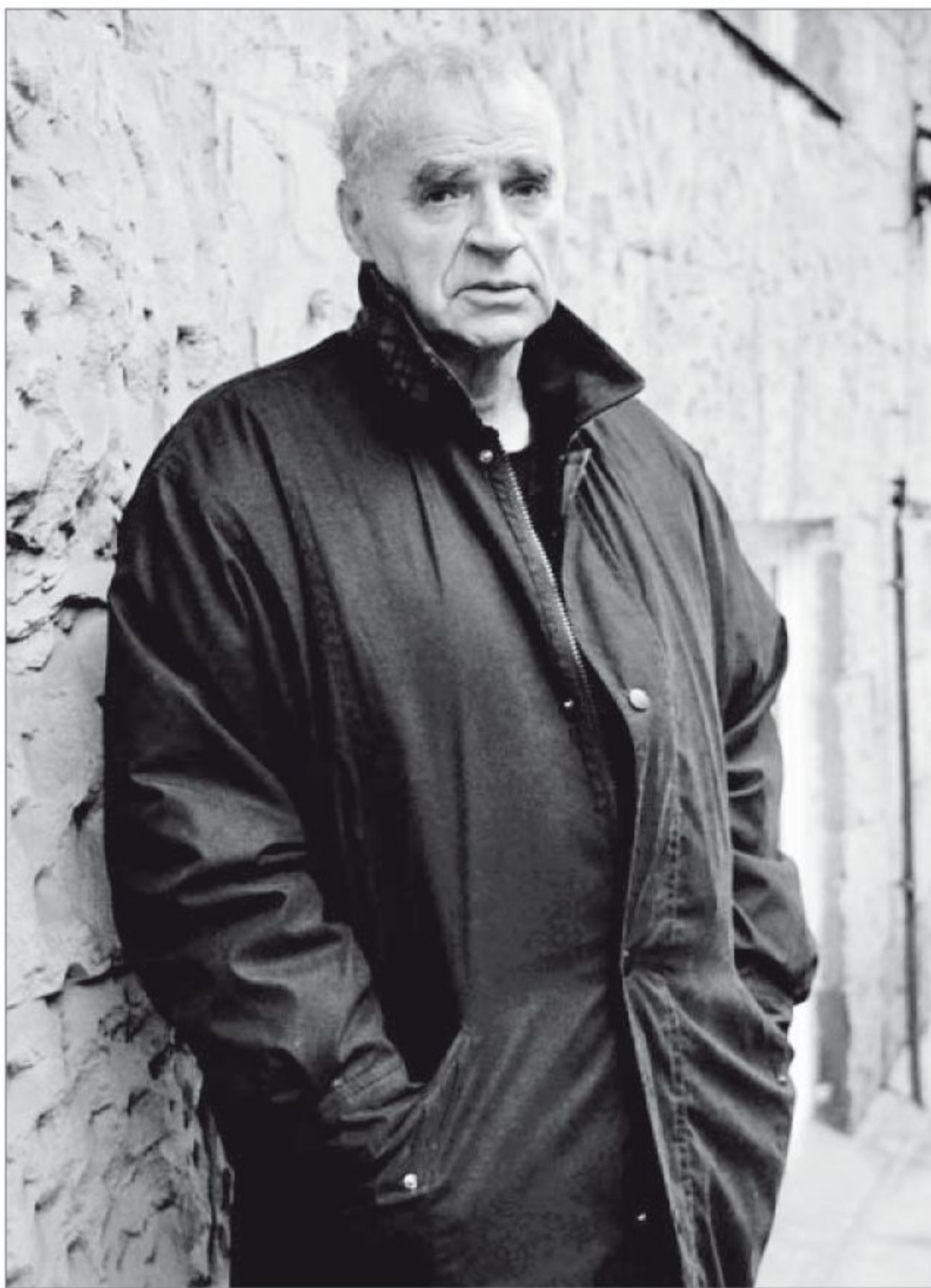
Solidarności sportretował polskie społeczeństwo, które idealizuje swoje bohaterstwo i moralną czystość, a jednocześnie uwielbia babrać się we własnych brudach.

Nawet gdy z siebie i z nas szydził, jednocześnie leczył z kompleksów, bo był najczęściej wystawianym na świecie polskim dramaturgopisarzem. W amerykańskiej inscenizacji „Kopciucha” z 1983 roku, zrealizowanej przez wielkiego broadwayowskiego producenta Josepha Pappa, grał Christopher Walken. W „Polowaniu na karaluchy” wyreżyserowanym przez Arthura Penna wystąpił Malcolm McDowell znany z „Mechanicznej pomarańczy”.

Gdy „Karaluchy” były grane w 1987 r. w Los Angeles, dostawał 8 tys. dolarów tygodniowo. Ze spotkań z wielkim Arthurem Millerem, autorem „Śmierci komiwożera”, miał nie tylko zdjęcia, ale i entuzjastyczne recenzje.

Po premierze sztuki „Fortynbras się upił” Miller napisał: „To przewrotnie inteligentny tekst. Opowiada o ostatecznym końcu polityki jako wartości moralnej. To, co po niej zostało, przypomina łódź ratunkową: miejsca starczy dla ośmiu osób, a dwanaście pcha się do środka. A jednak w sztuce Głowackiego jest jakaś nadzieja. Może dlatego, że autor prowokuje do śmiechu – o ile nie rozerwie się przy tym szwów i nie wykrwawi na śmierć”.

Nawiązując do „Hamleta” „Fortynbras się upił” to jedna z tych sztuk Głowackiego, o których mówił: „Świat jest gigantyczną biblioteką. Lubię odnosić się do tego, co już napisano: mitów, archetypów, bajek. Lubię pisać po drugiej stronie już zapisanego tekstu”. Dotyczyło to również postczekowskiej „Czwartej siostry” utrzymanej



♦ Janusz Głowacki (1938–2017)

w ulubionym stylu pisarza „i strasznie, i śmiesznie”.

Nieśmiały cynik

Ze swojej wyjątkowości musiał zdać sobie sprawę już w dzieciństwie, gdy w jego 47-osobowej klasie tylko dwie nie należały do socjalistycznego ZMP: katolik Tomasz Łubieński i on. Pisarską intuicję wykazał na egzaminie z historii, gdy powiedział, że historii nie powinno się uczyć, tylko ją tworzyć. Pisał własną, nigdy nie sugerując się oficjalną wersją żadnego wydarzenia.

Za debiut uważał opowiadanie „Wielki brudzio”. W 1964 roku, w sierniężnych czasach Gomułki, pisał o kapitalistycznym zbrataniu dzieci czerwonej burżuazji i prywatnej inicjatywy. Potem narzekał, że stał się specjalistą od bananowej młodzieży

i celebrytów. Sportretował ich w scenariuszu „Polowanie na muchy” dla Andrzeja Wajdy. Gdy wszyscy zachwycali się zrywem Solidarności i Lechem Wałęsą, jako świadek strajku w Stoczni Gdańskiej bez patosu napisał „Moc truchleje” – o prowokatorach w kierownictwie robotniczego protestu i zastraszonym, kolaborującym z SB robotniku, który dojrzewa do wolności.

Zazdrościł wszystkim wiary w lepszą Polskę. Mawiał: Polska jest może i lepsza. Ale czy Polacy?

Ze szkoły teatralnej wyrzucono go za zupełny brak zdolności i cynizm. Tłumaczył z uśmiechem, że zawiła jego nieśmiałość. Ukończył polonistykę, ale jego uniwersytetem był SPATiF, gdzie w latach 60. i 70. spotykały się gwiazdy teatru, kina, pisarze, tajniacy, prostytutki. Równie zażarcie

dyskutowano o Schopenhau-erze i kursie dolara. Parnas, na którym zasiadał, zawężał się. Gdy odeszli przyjaciele od stolika w Czytelniku – Gustaw Holoubek i Tadeusz Konwicki – przyjmował w Bristolu.

Jego wujem był Kazimierz Rudzki, aktor, dżentelmen, mistrz ironii. W latach 70., gdy publikował prowokacyjne felietony w „Kulturze”, opiekował się nim redaktor naczelny Janusz Wilhelmi. Głowacki lubił po nim powtarzać: „Nigdy nie ufaj swoim pierwszym reakcjom, mogą być uczciwe”.

Udowodnił, że trzeba mieć szczęścia – nawet w nieszczęściu, by pomagał przypadek. Z próby napisania reportażu o sierocińcu w Falenicy zrodziła się sztuka „Kopciuch”. Gdy pojechał na premierę do londyńskiego Royal Court Theater, wprowadzono stan wojenny, stał się sensacją medialną i wyemigrował do Ameryki.

Gdy udzielał wywiadów, lubił być zblazowany, niedbały, i czytelował taki wizerunek przy autoryzacjach, przerabiając zdania na jeszcze bardziej kolokwialne i zadziorne. Kreował się na cynika, bywalca i playboya w rozpiętej koszuli. A przecież swojej żonie Olenie Leonenko, aktorce, pieśniarce, recytował podczas spacerów nad Wisłą Jesienią. Tylko ona wie, co znaczyło w praktyce autoironiczne wyznaczenie pisarza: „Jak większość cyników, łatwo się wzruszam albo i płaczę”.

Może był tak naprawdę romantykiem uciekającym w sarkazm przed światem, który staje się coraz bardziej brutalny. Stężenie okrucieństwa było w jego twórczości tak duże, jakby starał się nas i siebie na nie zaszczepić. Choćby w powieści „Good night, Dżerzi”, inspirowanej znajomością z Jerzym Kosińskim.

W filmie „Trzeba zabić tę miłość” według jego scenariusza człowiek podbił dumnie kosmos, tymczasem grany przez Himilbsbacha cieć wysadzał dynamitem budę

z psem, doprowadzając do groteskowego samobójstwa. Głowacki, pokazując ludzkie barbarzyństwo, sprowadzał nas na ziemię.

Sztuka umiera

O polskim teatrze był krytycznego zdania. „Jest zawałony publicystyką – mówił mi. – Ze swojej strony staram się pisać sztuki teatralne, o rzeczach osobistych, które stają się uniwersalne. No, ale to jest sztuka, która wymiera”. Pamiętam, jak w jury festiwalu R@port dopytywał się, kiedy wreszcie zobaczymy spektakl, który będziemy mogli nagrodzić. Wybrał „W imię Jakuba S.” Pawła Demirskiego w reżyserii Moniki Strzępki, choć też miał uwagi.

RZECZPOSPOLITA

PISALIŚMY O TYM:

Biografia **Janusza Głowackiego** autorstwa Elżbiety Baniewicz

„Moralista nihilista”

24–25 czerwca 2017 r.

rp.pl/plusminus

Gdyby Polacy znali takie sztuki Głowackiego jak „Polowanie na karaluchy” czy „Antygonę w Nowym Jorku”, w dzisiejszej dyskusji na temat kryzysu uchodźczego braliby pod uwagę straszny los również polskich imigrantów. Przypomnieliby sobie, czym jest strach o przyszłość, bezsenność, brak pieniędzy, jedzenia i nadziei.

Nową premierę „Antygonę w Nowym Jorku” Głowacki miał oglądać w swoje urodziny, 13 września na łódzkim Festiwalu Czterech Kultur, przypominającym o naszej tradycji tolerancji, która ogranicza się dziś do imprez kulturalnych. Pisał o tym pewnie w drugiej części autobiografii. I nawet jeśli książki nie dokończył, nie możemy mieć go „z głowy”. ©

@ masz pytanie, wyślij e-mail do autora

j.cieslak@rp.pl

♦ PIĘĆ SŁYNNYCH SCENARIUSZY FILMOWYCH JANUSZA GŁOWACKIEGO

Psychodrama

reż. Marek Piwowski, 1969

Wybitny dokument z podtytułem „Bajka o księciu i Kopciuszku wystawiona w zakładzie dla nieletnich dziewcząt w D.”. W zapisie teatralnej psychodramy zawarty jest obraz okrucieństwa świata.



Polowanie na muchy

reż. Andrzej Wajda, 1969

Zabawne, ale i gorzkie zderzenie szarej PRL-owskiej rzeczywistości z lat 60. z życiem pokolenia obyczajowych przemian, którego symbolem jest w tym filmie zjawiskowa Małgorzata Braunek.



Rejs

reż. Marek Piwowski, 1970

Ten film to najinteligentniejsza komedia polska, która nie miała prawa powstać w socjalistycznej rzeczywistości, a stała się legendą. Groteskowe scenki tworzą bezlitosny zapis absurdów PRL.



Trzeba zabić tę miłość

reż. Janusz Morgenstern, 1972

Jeden z najlepszych filmów o wchodzeniu w dorosłość, o idealach, marzeniach i bezlitosnej konfrontacji z życiem.



Wałęsa. Człowiek z nadziei

reż. Andrzej Wajda, 2013

Karkołomny zamysł powiódł się również dzięki scenariuszowi. Udało się uniknąć pomnikowej biografii Wałęsy, choć Głowacki chciał, by było więcej ironii, co Wajda podczas kręcenia filmu stonował.

